(Nro. 239.)

ROZMAITOŚCI.

We Czwartek Nro. 120. 18. Października 1821.

Drzewko złamane.

DUMA.

(Z Tygodnika Polskiego Wanda.)

Pódź na me łono dziecię ulubione!
Nim słońce zacznie przygrzewać,
Odwiedzim drzewko tobie poświęcone
I wspólnie będziem polewać.

W tenczas gdym, słysząc pierwsze twe ięczenia,
Za twą się całość modliła;
Na lubą pamięć twego urodzenia
Samam to drzewko szczepiła.

Iednakie siły, wiek wasz iednakowy
Starania się dopomina,
Ty słabey ieszcze wznieść nie możesz głowy,
Drzewko twe, lada wiatr zgina.

Bezemnie rychłey wyglądaiąc zguby
Zwiędłyby listki nikczemnie;
Ty moie dziecię, ty mój synu luby,
O! czemże byłbyś bezemnie?

Będę więc równie czule i troskliwie
Około obu was chodzić,
Oba mi wzrastać będziecie szczęśliwie
I ciężkie godziny słodzić.

Wzniesłe się drzewko nad czystym strumieniem,
Rozpuści gałązki chłodne,
A ty pod młodym twego brata cieniem
Zaczniesz igraszki swobodne.

A gdy iuż męzkich sił doydziecie razem
Przy matce, na iedney ziemi;
Drzewo to synu, będzie twym obrazem,
Gdy póydziesz za losy twemi.

Stroskana, przy tym samotnym strumieniu
Pod iego cieniem usiędę,
Tu po twey stracie, po twem oddaleniu
Płakać, i czekać cię będę.

Ieśli czas w sercu twem, chęć laurów wznieci,
Gdy cnotą zasłużysz na nie;
Tu do mnie świeży listek z nich doleci,
Tu mnie twa sława zastanie.

Ilekroć razy los w szalonym gniewie
Zagrozi drogiey twey głowie,
Smutniey zaszumi liść na twoiem drzewie
I o przygodzie mi powie.

A gdy powrócisz po me uściśnienie
Do twoiey rodzinney chatki;
A iuż z mych piersi zniknie życia tchnienie
I skrzepnie ciało twey matki.

Tu mię ukryiesz: i mogiłę moię
Zasieiesz kwiaty, z twey dłoni
Przyymą się, wzrosną, bo ie drzewo twoie
Od burz i wichrów zasłoni.

Bodaybyś, po mnie szczęściem zasłużonem
Dni twoie kończył, zaczynał;
I o twey matce z sercem rozrzewnionem
Kiedy, niekiedy wspominał.

A gdy czas późny (o myśli dręczące!)
Z twey mnie pamięci wypleni,
Niech drzewo nad mym grobem czuwaiące,
Czoło twe wstydem zrumieni.

To rzekłszy czuła, nadobna Malwina
W gruncie swey duszy zadrżała,
Chociaż w niebieskich oczach swego syna,
Weselsze wróżby czytała.

Trzymaiąc nad nim lice zawieszone,
Pełna trwożących ią marzeń;
Chciałaby zgadnąć losy utaione
I koley przyszłych wydarzeń.

W tem nagle iakieś uczucie trwożliwe
Zachwiało umysł niewieści,
Zalały oczy iey piękne i tkliwe
Łzy ciężkie wieszczey boleści.

)(

Wzięła z boiaźnią dziecię w drzące dłonie,
Które iey trwogi nie znało,
I przez kwieciste i zielone błonie
Poszła, gdzie drzewko wzrastało.

Iuż miłe gaie i łąki minęła,
Iuż słyszy wody zbłąkane:
Lecz o boleści! iak martwa stanęła
Uyrzawszy drzewko złamane.

Wiszą gałązki, więdną listki hoże,
Na nic się nie zda podpora,
Iuż im ni ranna rosa nie pomoże,
Ani chłód świeży wieczora.

Ach! czyież dłonie srogie i okrutne,
To lube drzewko złamały?
I w serce matki te przeczucia smutne
Te wróżby bolesne wlały.

Ni wicher groźny, ni szumne ulewy
Nie wrzały mocą zaiadłą;
Nietknięte trawki, słabsze stoią krzewy,
To tylko drzewko upadło.

Pewnie Duch iaki tey cichey doliny
Ziemskiey nie znaiąc czułości;
Złamał wierzchołek prorockiey krzewiny
Ręką wiadomą przyszłości.

Zgiąwszy kolana matka przelękniona,
Zaczęła rzewne łzy ronić
Chciałaby dziecię, tuląc ie do łona
Od ciosu niebios zasłonić.

Iuż się iey zdało, że uleci z ziemi,
Ta iey pociecha iedyna;
Że Anioł śmierci z skrzydły rozpiętemi,
Wisi nad głową iey syna.

O słuszna trwogo! o wróżby prawdziwe!
Iak lekki powiew wietrzyka,
Tak nikną wszystkie nadzieie szczęśliwe,
Tak życie pierwotne znika.

Usnęło twardym snem kochane dziecie,
Nic go iuż zbudzić nie zdoła!
Ze łzami matki nie wpłynie weń życie,
Ani go ięk iey przywoła.

W niebieskie światło, czysta i niewinna
Z miękkiego wybiegłszy łona,
Na zawsze wzniosła się dusza dziecinna
Pomiędzy anielskie grona.

Żal tylko został po niey na dolinie;
Pobladły ziołka kwitnące,
Umilkł żałosny śpiewak na krzewinie,
I nschło drzewko na łące.

Przy niém Malwina trawiła godziny
Niepocieszone, samotne;
I tylko echo zieloney doliny
Znało iey żale stokrotne.

Czas, co boleści niszczy lub łagodzi,
Iey umartwienia nie skraca;
Coraz smutnieysza pod drzewko przychodzi,
Co raz smutnieysza powraca.

Nikt iey po stracie cięźkiey nie pocieszał,
Ni szczęściem swem nie weselił;
Ani ze łzami iey, swych łez nie mieszał,
Z żalem iey, żalów nie dzielił.

Ptak tylko iakiś z słońca promieniami
Z niebios, w dolinę zlatywał,
I sznmiąc nad nią białemi skrzydłami,
Na suchem drzewku spoczywał.

Nigdy zwieszoney główki nie podnosił,
Iak gdyby równie się smucił,
Z mrokiem wieczora nad chmury się wznosił,
By z nowu z rankiem powrócił.

A gdy łzy płowym obcierała włosem
W bolu nie przepłakanym,
On ią zabawiał, i pocieszał głosem
W ziemskiey harmonii nieznanym.

Nie długo iednak trwało to cierpienie,
Ostygło nadobne ciało,
I w kwiecie wieku iey ostatnie tchnienie
Za lubym ptakiem wzleciało.

J. Korzeniowski.

Sześciu Turków.

(*Ciąg dalszy.*)

Tych tu obecnych towarzyszów moich i mnie, kupił Maurytanczyk, dzierżawca dóbr nazwiskiem Almanzor, który prócz postaci, mało miał śladów człowieka. Popędzono nas do iego blisko miasta będącey osady, gdzie w ciężkich kaydanach o naylich-

szey strawie, przez ciągłych lat 10 do naycięższych prac zmuszanymi byliśmy, pozbawieni wszelkiey nadziei do ucieczki, albo do odzyskania wolności iakimbądź sposobem, z tey naszey tyrańskiey niewoli. Na noc zamykano nas na dziedzińcu, gdzie pomiędzy niewolnikami Maurami w budowli do niskich staien podobney na zgniłey słomie pełney robactwa, lichemi opatrzeni gałganami sypialny znaydywaliśmy pokoy. Pomiędzy tymi ludźmi nauczyliśmy się z czasem kraiowey mowy: wszakże nietrudna byłaby nam przebydź niskie tego dziedzińca mury, ale cóżby to nam do odzyskania wolnosci naszey było pomogło; gdy nas i odzież niewolnicza wszędzie byłaby wydała, i my niewiadomi okolic, nierównie większem podpadalibyśmy w ucieczce trudnościom, iak kraiowce, a nadto kary były tak nieludzkie, iż niepodobnem zdawało się, iak zdołał człowiek wymyslać tak okrutne męczarnie na podobną sobie istotę.

Przeszłey wiosny pięć lat minęło, gdy naszą liczbę pomnożył młodzieniec, którego delikatna płeć okazywała urodzenie wyższe; nie lepiey z nim iak z nami postępywano, i często w razie nieukończenia dzienney swey pracy naydotkliwsze cierpiał kary. Żaden z ziomków iego chociaż ich nie mało było, nie przynosił mu w ciężkich pracach iego swoią pomocą, ulgi; ale my Europeyczycy, pod łagodnieyszem zrodzeni niebem, szlachetnie myslеć nauczeni, podwaialiśmy siły nasze, ażeby pozwoloną nam do odpocznienia chwilę poświęcić pomocy biedakowi.

Piątku iednego, w którym dniu pozwalano nam zwykle kąpać się i godzinę odpoczynku na wolnem powietrzu; położył się obok mnie na trawniku, westchnął ciężko i rzewnie płakać zaczął.

Własne moie położenie dość było okropne, iednakże cieszyłem go iak tylko mogłem i prosiłem go, aby mi się chciał zwierzyć. Dogadzaiąc mey prośbie opowiadał mi, że oyciec iego A l b o r e l i człek bogaty mieszka w własney maiętności, mile od A l g i e r u odległey, a podług iego domysłu pięć dni podróży od mieysca naszgo nieszczęsliwego pobytu. Nie poymowałem zkąd O m a r o w i (tak się ten młodzian nazywał) to się uroiło, dobrze bowiem wiedziałem, żeśmy ledwie półmili od A l g i e r u oddaleni, i obiaśniłem go. Nieskączenie zdziwiony, opowiedział mi, iak go blisko siedziby oyca iego kilku zboiów napadło i w zamknięty wóz zatkawszy gębę wsadziło, iak go w takim stanie noc całą wożono, iak z wozu wypuszczono; gębę, z zagrożeniem atoli odcięcia mu ięzyka, za wydaniem naymnieyszego głosu, odetkano, iak mu potem oczy zawiązano, i tak przez 5 dni włoczono, aż narescie naszą pomnożył liczbę.

Gdy to wszystko mnie niemało zastanowiło, ile że O m a r o w i nieznane było nawet imie tyrana, w którego ięczał niewoli; wymieniłem A l m a n z o r a.

W ten momęt bladość okrywa twarz iego a członki drzeć poczęły — „Przez Proroka!“ zawoła. — „teraz iuż zginąłem“ rzucił się potem w trawę, i tak głośno szlochał, iż ieden z dozorców zapytał, coby to znaczyło?

Gdy tak R o l l a n d swoie i cudze przypadki Maiorowi opowiadał weszła owa dama i rzekła słów kilka niezrozumiałych Maiorowi. Poczem R o l l a n d dalsze opowiadanie do następuiącego dnia odłożył a Maior odszedł do *Fondo de oro* oberzy, mieszkania swego.

Tu na równinie po prawey M o n t i n r gdzie nieśmiertelny rycerz de M a n c h a z rycerzem de la B l a n c a L u n a straszliwem poiedynkiem w obliczu W i c e k r ó l a imiona swoie uwiecznili, siedział iuż przed świtaniem dnia, na wzgórku przy goscińcu wzdłuż morza ku V i l l a n o w a wiodącym w oczekiwaniu na wschód słońca.

Niezmierzona okiem środziemnego morza spokoyna płaszczyzna, iuż odbiiała pierwsze słońca promienie gdy upoiony tym maiestatycznym widokiem, usłyszał mówiących za sobą. Był to R o l l a n d z iednym z wczorayszego towarzystwa, który tu także nieporównaney tey scenie natury przypatrywać się chciał. Dobry dzień przyiacielu! ozwał się Maior, właśnie dobrze przychodzisz, ciekawym słyszeć dokończenia twoich przypadków— Zgoda odpowiedział R o l l a n d — i daley tak opowiadać zaczął. —

Łatwo było przed dozorcą, który O m a r a we łzach zawsze widział, istotną przyczyne płaczu utaić. Wieczorem mówiłem z O m a r o m znowu i dowiedziałem się że A l m a n z o r z A l b o r e l i m w głowney nieprzyiaźni żyli, że A l m a n z o r o w i otruto córkę, i że ón A l b o r e l e g o o tę zbrodnie posądzał. Kilka tygodni pożniey niemogąc spać w nocy, słyszałem dwóch niewolników naradzaiących się o sposób ucieczki, którym nie oto szło, iakby, ale gdzieby uciekać mieli; pierwsza bowiem okoliczność żadney, druga niezwyciężone stawiała im przeszkody.

Pierwszego zaraz Piątku mówiłem z O m a r e m o tem, a następnie z iednem z tychże niewolników, który mi się zdawał odważ-

nieyszem; potem zgodziliśmy się na to, aby do oyca Omara zbiegł i temu o stanie syna doniosł.

Plan ten w zbliżaiącey się nocy iuż zaraz wykonać postanowiliśmy. Kamieniem rozbiłem krępuiące nogi iego kaydany, a o poł nocy gdy wszyscy dzienną znużeni pracą, w twardym snie leżeli, i miesiąc właśnie wschodzić zaczynał, mur przeleść pomogłem.

Nazaintrz, dozorców naszych mniey trudniła ucieczka iego, iak wynalezienie rodzaiu kary, któreyby za schwytaniem o którem niewątpiono, podpaść miał. Ia z Omarem w nayniespokóynieyszem byliśmy oczekiwaniu; za nadeysciem atoli południa, gdy zbiega ieszcze niebyło wolniey oddychać zaczęliśmy, ciesząc się iuż słabym promykiem słodkiey nadziei.

W duchu iuż siebie i towarzyszów moich uwolnionych widziałem. Gdy nas badano, czyli o iego ucieczce iakiey nie mamy wiadomości — niewolnik ów, który z zbiegiem sam zbiedz także zamyslał, wyznał, iakoby mu się był zwierzył, że się powiesić chce; na co przełożony dozorców odpowiedział: „Tak w istocie bydź musi, inaczey bowiem dawnobyśmy go tu mieli“ — Dla tego też przybyłemu wieczorem do ogrodu Almanzorowi o samoboystwie zbiega, z taką pewnością doniesiono, iż w tey mierze wszelkie śledzenia usłały.

Wszelako więcey iak trzy upłynęły miesiące, a my niewidzieli, z upraguieniem oczekiwaney pomocy, Omar rozpaczał i ia straciłem lubą nadzieię, gdy poranku iednego pracuiąc za murami ogrodu, około dzieła, do którego tylko nas Europeyczyków używano, zoczyłem młodzieńca z cytrą, nas pilnie uważaiącego; który się do mnie potem zbliżywszy, pierscień upuscił, a sam między palmami zniknął. Zdięty pierścień pokazałem Omarowi tey zaraz nocy. „To brat móy“ poszepnął mi cicho do ucha, przypatrzywszy się uważnie pierscieniowi przy świetle Xiężyca: „mieymy nadzieię nieszczęśliwy przyiacielu, teraz pomoc bliska.“ — Prawie w tydzień, straszna panowała burza, okropnie ryczały morza bałwany, nieustanna błyskawica i pioróny oka zmrużyć nie dały, gdy nagle w naszem więzieniu dotąd niewidziane pokazuie się swiatło, wciska się Muzułmanów uzbroionych kupa, i zabiera z sobą Omara, żadnemu niewolnikowi z mieysca ruszyć się nie daiąc, nas Europeyczyków szczególnie z więzów uwalnia i uzbraia. Tak opuściliśmy to nędzy mieszkanie, i przez kilka do muru przystawionych drabin, wskoczyliśmy na dziedziniec sąsiedzkiego mieszkania Almanzora.

(*Dokończenie nastąpi.*)

C. K. Przywileia na wynalazki w kraiach Monarchii Austryiackiey poczynione.

Nayiaśnieyszy Pan naywyższą uchwałą z d. 12. Sierpnia r. b. raczył mydlarzowi w Weronie Janowi Smania nadadź pod prawnemi warunkami wyłączny w całey Monarchii pięćletny przywiley na iego za nową podaną poprawę piecow rewerberowych do użytku mydlarni, ktora co do istoty zasadzać się ma na tem: „iż przez nią, z nadzwyczayną oszczędnością drzewa, bo trzech czwartych części wydatku drzewa dotychczasowego, kocioł do tego stopnią rozgrzany bydź może, iż do skończenia waru nie potrzeba nad pięćdziesiąt godzin czasu, gdy tym czasem, przy używanych odwiecznych kotłach w Wenecyi zwyczaynych, potrzeba było na to, ośm dni a nawet i piętnaście.“ — Naywyższą uchwałą z d. 19. Sierpnia r. b. taki sam przywiley na lat 10 upoważnionemu szczotkarzowi w Wiedniu, Leonardowi Spaamann na iego za nowy podany wynalazek, który co do istoty zasadzać się ma na tem: „iż za pomocą iego machiny świdruiącey i kraiącey zdatuey dla szczotkarzy, wiercić można daleko dokładniey i prędzey, kość, perłową macicę, i wszystkie do szczotek używane błachy różnego kruszcu, nie potrzebuiąc iak dotąd dziurek odcyrklować i odmierzać. Można oraz tą machiną wyrabiać zwyczayne na grzbiecie szczotek fugi, w których się dziurki znayduią, daleko piękniey i prędzey, iak się dotąd narzędziami ręcznemi wyrabiały.

Redakcyia F. Krattera. — Drukiem J. Pillera.